

egzemplarz bezpłatny

mixer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

ISSN 1732-6494 nr 32, styczeń 2009



miXer

magazyn studentów

Krakowskiej Szkoły Wyższej im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego

Nr 32, styczeń 2009

3 Apéritif

FeLieTon

Fobia Łudzi Trudnych

- 4 Doskrzynkowa transfuzja poglądów
- 5 Dynastia Tang a chińskie trampki
- 6 Nawet to jest na sprzedaż...
- 8 A może: religioznawstwo?

StuDnia

Studencki Drogowskaz Intelktualny

- 9 - *U nas nikt nie przykleja sobie uśmiechu...*
- 11 - *Radio będzie istniało dopóty, dopóki będą słuchacze*
- 13 Zaczyna się od *savasany*, czyli „pozycji trupa”
- 14 Teatr KTO LUTY 2009
- 15 Trzeba to przeżyć, a później... odreagować

KUMulus

Kulturalny Uzupełniacz Młodzieży

- 16 Krwawiący polipropylen podrzucony do sklepu belgradzkiego rzeźnika
- 17 - *Czytałam wiele podręczników, ale i tak zawsze robię po swojemu...*
- 18 Witajcie w ciężkich czasach

PoWaGa

Politycznie Ważne Gadanie

- 19 Siedem „grzechów” Wajdy
- 21 Nie trzeba wiele, by pomóc innym
- 22 Prof. Andrew Michta: - *Partnerstwo nie polega na tym, że jedna strona wyłącznie wymaga...*

redaktor naczelny

Bartosz Walat

redakcja

Iga Bałos
Grzegorz Makuch
Joanna Oparcik
Magdalena Zakrzewska
Anna Zielińska
Maciej Pietrzyk
Mirka Kędzierska
Dorota Zdechlikiewicz
Norbert Tomasik
Karolina Dziadczyk

zdjęcia

Mirosław Żak
Grzegorz Ladra

dtp i layout

autor komiksu

Mateusz Janusz (*hussars.pl*)

Andrzej Paduszyński

adres do korespondencji

mixer_ksw@interia.eu

druk

Drukarnia Leyko
tel. 012 656 44 87

nakład

2000 egzemplarzy

opieka redaktorska

Maciej Malinowski
(Wydział Politologii
i Komunikacji Społecznej)

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania tekstów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych.



Bartosz Walat redaktor naczelny

Apéritif

Przemieszczając się między zdemolowanymi częściami asortymentu sylwestrowego, bardzo sprawnie można zweryfikować tendencje, które po przedarciu się przez otoczkę noworoczną powinny zmanifestować świeżość i generacyjne usprawnienie. Wszystko za sprawą bzdurnego charakteru tego czasu, który cyklicznie ma problem z wyzbyciem się trywialnej aury i potrafi jedynie namącić w rozmarzonej głowie.

Plebiscyty, konkursy i wyniki sprzedaży. Trójca święta degradująca wartości niszowe do miana – nieistniejących. I nie ma w tym wypadku miejsca na zmanifestowanie sprzeciwu. Wszystko zostało już przeliczone i wiadomo, że w styczniu zwróci się uwagę jedynie na statystyki. Jedyna szansa na zauważenie – to prowokacja, no chyba że po prostu będziemy robić swoje w bezpłatnych egzemplarzach naszej gazety.

A tym razem narobiliśmy wiele. W najnowszym numerze natraficie przede wszystkim na premierę działu „Komiks”, który od tej pory co miesiąc będzie gościł na łamach naszego magazynu. Tym razem swój projekt przedstawił Andrzej Paduszyński, ale jeżeli uważacie, że jesteście lepsi, przesyłajcie swoje propozycje na mixer_ksw@interia.eu, a na pewno zostaną one uwzględnione.

W styczniowym „Mixerze” znajdziecie także zestawienie wywiadów dwóch krakowskich radiowców, którzy na co dzień wysyłają sygnały w dwa etery – stylistycznie przeciwstawne.

Zachęcam także do przeczytania obszernego działu felietonowego, który od teraz trafia na początek „Mixera”. Przekrój materiałów tam zamieszczonych da wam okazję dokonać seksualnej transfuzji wkomponowanej w chińskie trampki. Brzmi kusząco?

Pozostaje mi nic innego, jak życzyć wam soczystej sesji, przepelnionej profesorskimi zygzakami, manifestującymi zwycięstwo. Pamiętajcie: „nie wszystko złoto, co się świeci” oraz „na złodzieju czapka gore”. Powodzenia!

Zazwyczaj niczego nie wyrzucam przed przeczytaniem, dlatego też przeczytałam. Tytuł „Manipulacja i dezinformacja w mediach” poprzedzono ręcznie dopisanym apelem „Uwaga Polacy!!! Bardzo ważne!!! Pod spodem zaś zalecono: „Uważnie przeczytaj, kseruj, podaj dalej”

Doskrzynkowa transfuzja poglądów

Dorota Zdechlikiewicz

Nie przeczując niczego złego, zajrzałam swego czasu do skrzynki na listy. Spośród niewielkiego stosu rachunków i reklam sfrunęła na podłogę kartka formatu A4 gęsto zadrukowana i uzupełniona odręcznymi wstawkami. Zazwyczaj niczego nie wyrzucam przed przeczytaniem, dlatego też przeczytałam. Tytuł „Manipulacja i dezinformacja w mediach” poprzedzono ręcznie dopisanym apelem „Uwaga Polacy!!! Bardzo ważne!!! Pod spodem zaś zalecono: „Uważnie przeczytaj, kseruj, podaj dalej”.

- Czyżby kolejny „łańcuszek”? – pomyślałam. Postanowiłam jednak czytać dalej, bo a nuż, widelec czegoś się dowiem.

Cały tekst (waham się, czy można go nazwać artykułem, bo ten zazwyczaj ma autora) głosił, jak bardzo niesprawiedliwe, nieobiektywne i zmanipulowane są media masowe. Oczywiście, rzecz dotyczy wyłącznie tych niezwiązanych z Radiem Maryja, TV Trwam, i czasopismami katolickimi. NN autor pod niebiosa wysławia patriotyczno-chrześcijańską misję mediów katolickich, podkreślając manipulowanie obserwatorem, jakie ma miejsce w innych rodzajach środków masowego przekazu.

Nie cierpię być indoktrynowana, a hipokryzja doprowadza mnie do sza-

ku. Czymże bowiem innym jak nie szerzeniem obłudnej propagandy jest podrzucanie ludziom do skrzynek takich za przeproszeniem „artykułów”? W dodatku nie ma możliwości zareagowania, bo autor pozostaje nieznany, nie wiadomo, kto to wydrukował i kto kolportuje. Niewykluczone, że gdybym poszła z tym do najbliższego kościoła, ksiądz by się wyparł...

W mieszance tej sprytnie zamieszczono także reklamę książki J.E. ks. bp. Adama Lepy pt. „Świat manipulacji”, określając ją jako pozycję „dogłębnie i fachowo oraz oczywiście zgodnie z doktryną Kościoła katolickiego”, przedstawiającą problem manipulacji, reklamę Radia Maryja i czasopism pod znaku o. Rydzyska.

Co gorsza – nie dość, że mamy do czynienia z ewidentną próbą indoktrynacji, to w dodatku jest to zrobione w sposób urągający osobom poprawnie mówiącym po polsku. Pomijam słowotok i bezmyślność piszącego, ale nie mogę pominąć potwornych wręcz błędów ortograficznych, stylistycznych i interpunkcyjnych, jakimi najeżony został ów paszkwil.

Szkoda, że nie mam możliwości wymiany poglądów z twórcami i pomysłodawcami tej akcji. Może daliby się namówić na kupno chociaż jednego słownika ortograficznego... na zasadzie skseruj i podaj dalej. ■



Czy w czasach sekstelefonów, wirtualnych doznań i Dody Elektrody możemy jeszcze mówić o seksie jako temacie tabu?

Nawet to jest na sprzedaż...

Tomasz Kucza

Będąc w jednym z popularnych nocnych klubów, utknąłem w falującej kolejce do toalety. Sytuacja nie zasługiwałaby na głębszą analizę, gdyby nie pewne zdarzenie, którego stałem się mimowolnym świadkiem.

Barczysty samiec alfa po krótkim zbadaniu terenu wprowadził podchmieloną blond samicę do męskiej toalety, po czym zamknął się razem z nią w jednej z kabin. Wydarzenie to przykuło jedynie moją uwagę, gdyż reszta przegranych samców nieprzerwanie przylizywała swoje wystylizowane owłosienie bądź też okadzała się perfumami z próbki otrzymanej wcześniej w pobliskiej perfumerii. Więc o co właściwie chodzi?

Wszyscy przyzwyczailiśmy się już do bannerów reklamowych, na których nagie modelki prezentują zmarzniętym przechodniom gładź gipsową. Nikogo też nie dziwi gra wstępna w wykonaniu napalonych nastolatków, odbywająca się w samym środku zatłoczonego tramwaju. Ogólnodostępne kolorowe magazyny prześcigają się w serwowaniu sfrustrowanym czytelnikom recept na tysiąc jeden orgazmów, osiągniętych dzięki wymyślnym technikom seksualnym. „Słownik wyrazów obcych” definiuje tabu jako „nietykalną świętość, temat, którego nie wolno poruszać”.

Zatem czy w czasach sekstelefonów, wirtualnych doznań i Dody Elektrody możemy jeszcze mówić o seksie jako temacie tabu? Czy odzierając erotyzm z tajemnicy, nie pozbawiliśmy go przypadkiem czegoś wartościowego? Dlaczego, chcąc zrozumieć siebie i swoją seksualność, postanowiliśmy ją upublicznić? A może powiedzieliśmy już zdecydowanie za dużo?

Rewolucja seksualna, jaka przetoczyła się przez Amerykę w latach 60. XX wieku, otworzyła niejedne oczy i rozporki. Raport Kinseya, amerykańskiego

biologa i seksuologa, oparty na tysiącach wywiadów dotyczących zachowań seksualnych, spowodował falę kontrowersji, ale i świadomości o życiu erotycznym człowieka. Bez względu na wiarygodność zebranego materiału rozpoczął się proces, który pozostawił niezatartą rysę na idealistycznym, aseksualnym micie amerykańskiej rodziny.

Błyskawiczny rozwój wiedzy wymusił także zmianę postrzegania ludzkiej seksualności przez Kościół katolicki. Przedstawicielom dominującej religii coraz trudniej było wmawiać ludowi, że lubieżne barłożenie okupione jest owłosieniem na prawej, czasem lewej dłoni, nadmierną potliwością i opętaaniem. Seks, choć nadal spętany przykazaniami, przestał nosić znamiona nieczystego i niegodnego.

Inteligencja seksualna wzrastała. Kobiety i mężczyźni uczyli się siebie na nowo. Seksuolodzy edukowali, leczyli i badali. Wszystko szło w dobrym kierunku.

Jednak w pewnym momencie seks się zaczął pojawiać w miejscach, w których wcześniej był nieobecny. Wskakiwał z reklamy kolejnej margaryny albo nowego samochodu, wrzeszczał w prawie każdym teledysku emitowanym na MTV, dwuznacznie mrugał zza szyby kiosku z gazetami.

Nawet początkujący dziennikarze wiedzą, że nic tak nie przyciąga uwagi odbiorcy, jak stygnący jeszcze trup i rozpalona do czerwoności seksafera. Te dwa, wydawałoby się tak różne, zdarzenia wyznaczają jeden tor, którym płyną wszelkie informacje zalewające nas codziennie. Jednak czy w pogoni za sukcesem, wybuchową rewelacją i ogólnym splendorem nie tracimy czegoś wyjątkowego i niepowtarzalnego – uroku tajemniczości? Czy karmienie się informacjami o braku intymnej garderoby u piosenkarki bądź erotycznych przygo-

dach uczestników „Tańca z gwiazdami” nie pozbawia nas pewnej subtelnej wrażliwości na „te sprawy”?

Czasy umęczonych pustelników w przyciasnej białej bieliźnie, których napięcia seksualne anioły wynoszą do nieba, minęły. Edukacja seksualna oparta na bajce o zaczarowanym kalendarzyku i magicznym termometrze też wydaje się dziś kiepskim żartem. Sytuacja ta napeł-



nia mnie nadzieją na lepsze jutro. Jednak zastanawiam się, dlaczego tak często świadomość swoich potrzeb seksualnych i ich realizacja zmienia się w klasyczny ekshibicjonizm. Czy żyjąc pod prężeniem tabu, pozostawalibyśmy do końca życia niczym tabula rasa? Może pozbawieni wiedzy o życiu seksualnym sąsiadów nie porównywalibyśmy tak często własnych doznań z przeżyciami innych?

Choć zwichrowani styliści przerażeni własnym dziełem próbują na nowo przekonać umęczoną gawiedź, że seksowne mogą być również starsze i grubsze egzemplarze, wszyscy doskonale wiemy, jak wiele osób utonęło w kompleksach wyczytanych z kolorowych gazet. Niepomahowane epatowanie wizerunkiem kobiety, jako wiecznie gotowej na wszystko seksbomba sprawiło, że w świadomości wielu pryszczatych nastolatków ten model pokutował jako jedyny i słuszny

wzór ich wymarzonej przyszłej partnerki seksualnej. Zderzenie z rzeczywistością często kończyło się w takich przypadkach na kozetce u wciąż bogacącego się seksuologa.

A jeśli się po prostu czepiam? Jawne eksponowanie i epatowanie seksualnością nie jest przecież niczym nowym. W antycznej Grecji i Rzymie podobizny przedstawiające monstrualne penisy zdobiły zewnętrzne ściany domów, a nawet skrzyżowania. Chodziło w tym jednak o coś zupełnie innego niż sprzedaż jakiegoś produktu czy wypromowanie wschodzącej gwiazdki pop. Podobizny członków miały sprzyjać płodności, sprrowadzać bogactwo i chronić przed urokami. Natomiast kobiece narządy płciowe były często przedmiotem kultu. Około trzydziestu tysięcy lat przed naszą erą rzeźbiono je w kamieniu i eksponowano, aby stanowiły symbol bramy niebios.

Być może tacy po prostu jesteśmy. Lubimy patrzeć, podglądać, podsłuchiwać i tak naprawdę tylko jedno nam w głowie. Amerykańscy naukowcy opublikowali ostatnio badania, w których wykazali, iż 40 proc. połączeń z Internetem dokonywanych jest z zamiarem poszukiwania treści pornograficznych. Oczywiście można by wysnuć wniosek, iż wszyscy internauci to zboczeńcy chcący ulżyć sobie w cierpieniu we „własnym zakresie”. Co jednak, jeśli tabu jest tylko złośliwym uwarunkowaniem socjokulturowym, fałszywą skromnością, religijnym wymysłem i tak naprawdę nigdy nie było nam do niczego potrzebne? Być może, odarci z absolutnie wszystkich zakazów, przykazań i schematów zachowań, byliśmy niczym dzikie ssaki, których codziennosc przypomina niekończący się okres godowy.

Wydaje mi się, że specjaliści od reklamy, public relations, menedżerowie gwiazd i pozostali, którzy chcą na nas po prostu zarobić, postanowili uderzyć w ową głęboko skrywaną część nas samych. Pierwotną, nieokiełzaną, dziką. Zastanawiam się tylko, czy musimy się temu poddawać, bezdyskusyjnie przyjmować wszystko to, co jest nam serwowane. A może każdy z nas powinien wypracować sobie swoje własne tabu, świętą strefę, której nikt i nic nie powinno naruszać? Jednak to, co dla jednych jest krokiem dzielącym od przepaści, dla innych może się okazać jedynie wstępem do prawdziwej imprezy.

W filmie „Fortepian” w reżyserii Jane Campion jest pewna znacząca dla mnie scena. Grany przez Harveya Keitela mężczyzna, dysząc jak dziki zwierzę, próbuje zdeprawować główną bohaterkę. Ponieważ akcja dzieje się w XIX wieku, kobieta ubrana jest w czarną, żalobną suknię zapiętą po samą szyję. W pewnej chwili mężczyzna dostrzega dziurkę w grubych rajstopach kobiety, przez którą widać nagą skórę, mikroczęść wszechświata. Zaczyna dotykać jej poszarpanych brzegów. Żadnej nagości i pocałunków, jednak jest to w moim odczuciu jedna z najbardziej erotycznych scen w światowej kinematografii.

Myszę, że kiepską metaforą mojego tabu są właśnie te czarne, grube, miejscami dziurawe rajstopy, które pozwalam dotykać tylko wybranej przeze mnie osobie. ■



Krytyka nauki religii w szkołach wciąż uznawana jest za szerzenie poglądów ateistycznych

A może: religioznawstwo?

Maciej Topinek

W roku 1990 wprowadzono do szkół religię jako pełnoprawnie obowiązujący przedmiot nauczania. Niewątpliwie odbyło się to pod silną presją Kościoła, z którym ówczesna władza nie chciała popadać w konflikt. W środowiskach nastawionych sceptycznie owa decyzja wywołała natychmiastowy sprzeciw. Od tamtej pory minęło 19 lat, jednak nadal możemy się natknąć na głosy nawołujące do zaprzestania nauczania religii w szkołach.

Krytycy posługują się różnymi argumentami. Część z nich to jedynie sztampowe hasła i slogany, choć rzecz jasna znajdują się i takie opinie, z którymi trudno się nie zgodzić. Wydaje się, że po tak długim okresie funkcjonowania religii w placówkach oświaty to skuteczność nauczania powinna być czynnikiem mającym wpływ na jej ocenę. Tymczasem badania przeprowadzone na grupie osób deklarujących się jako „wierzące” lub „bardzo wierzące” wskazują, że jedynie 30 proc. respondentów można zaliczyć do grona prawdziwych wyznawców.

Jeżeli na pytanie: „Jakie znasz postacie Trójcy Świętej?”, udzielane są błędne odpowiedzi, to wypadaloby się zastanowić, czy obecna forma nauczania się sprawdza i czy nie należałoby wprowadzić jakichś zmian.

Istotnym elementem rozważań może być wpływ, jaki nauka religii ma na osoby, którym jest przedstawiana. Watykan oraz katolicy intelektualiści oficjalnie zaakceptowali teorię Darwina, jednak na szczeblach lokalnych nadal większą wagą i poważaniem cieszy się kreacjonizm.

Ważnym czynnikiem pozostaje też także praktyka nauczania. Internetowy blog pewnego krytyka pokazuje sytuację, kiedy na lekcji religii przedstawiane są właściwości teorii kreacjonizmu, a kilkanaście minut później młody człowiek udaje się na biologię, gdzie podstawą

nauczania jest teoria ewolucji. W tym momencie pojawia się pytanie, jak pogodzić owe dwa, obecnie równorzędne, przedmioty...

Odpowiedź może przybierać skrajną wersję – należy przestać brać udział w którymś z tych przedmiotów. Wiadomo jednak, że w tak drażliwych tematach jakkolwiek desperacja nie jest mile widziana.

Oczywiście czasami rezygnacja z lekcji religii wydaje się prosta, jednak niejednokrotnie powoduje – w szczególności w mniejszych miejscowościach – wyobcowanie ze spójnej grupy społecznej. Inaczej problem zarysowuje się w miastach, gdzie dużo łatwiej zachować anonimowość i gdzie środowiskowy ostracyzm nie jest aż tak dotkliwy.

Lekarstwem na te problemy miało być wprowadzenie do szkół religioznawstwa. Trudno jednak wyobrazić sobie inną reakcję władz kościelnych, opowiadających się za nienaruszaniem obecnego porządku, niż ostry głos sprzeciwu.

Trzeba jednak zwrócić uwagę na to, że skoro żyjemy w ustroju manifestującym relatywizm wartości, to powinno się wzbraniać od sytuacji, w których kształtuje się jednotorowe zapatrywania (choć oczywiście nie mamy pewności, że przekształcenie przedmiotowe byłoby związane ze zmianą programu nauczania).

Wydaje się mało prawdopodobne, żeby w najbliższej przyszłości nastąpiły jakiegokolwiek zmiany. Krytyka nauki religii w szkołach wciąż uznawana jest za szerzenie poglądów ateistycznych. Najgorszy wpływ na obecną sytuację ma chyba opinia publiczna, która nie stara się spojrzeć na zdania krytyczne, jak na próbę poszerzenia sprawiedliwych norm edukacji.

Kiedy spotykają się ze sobą przedstawiciele środowisk o odmiennych poglądach, dyskusja na ogół przybiera formę manifestowania słuszności subiektywnych racji. W grudniowym „Salonie politycznym” w klubie „Pod Jaszczurami” można się było o tym przekonać. Nie zmienia to jednak faktu, że należałoby w końcu dojść do jakiegoś kompromisu, chyba że mylenie Marii z Marią Magdaleną, a Józefa z Janem Chrzcicielem stanie się dla nas normalnością. ■

- U nas nikt nie przykleja sobie uśmiechu...

O pracy prezentera radiowego rozmawiamy
z Robertem Jastrzębskim,
dziennikarzem krakowskiej filii „AntyRadia”

- Od czego rozpoczęła się twoja przygoda z radiem?

- Początkowo pracowałem jako DJ i pewnego razu kolega prowadzący program dance'owo-tran-sowy zaprosił mnie jako gościa do audycji. To była mała, lokalna stacja z Częstochowy, w której mikso-wałem na żywo. Pamiętam, że wystarczyło założyć słuchawki i powiedzieć dwa słowa, żeby całkowicie przekonać się do tego zajęcia.

- Początkowo nie byłeś dziennikarzem. W ta-kim razie jak wiele zmieniło ono w twoim życiu?

- Według mnie wszystko zależy od cech charak-teru człowieka, od osobowości. Jeżeli jesteś zamknię-tym samotnikiem lub chcesz poświęcać się rodzinie, to możesz się nie odnaleźć w tym środowisku. Tutaj potrzeba mobilności, gdyż nie wiadomo, kiedy i gdzie cię coś rzuci. Owa praca pozwoliła mi się wyrwać z rodzinnego miasta, gdzie zamknąłem pewien roz-dział życia. Od jakiegoś momentu jestem nastawiony na aktywne życie, bo to po prostu warunek egzystencji w tym fachu. Żeby zaistnieć i się rozwijać, trzeba mieć silny charakter i dystans do świata. Należy się przyzwy-czać do tego, że w tym fachu rzadko cię chwala... ►



94 FM Warszawa 106.4 FM Katowice 101.3 FM Kraków

► - Obecnie jesteś związany z „AntyRadiem”. Czym się w nim zajmujesz?

- Prowadzę program „Łowcy Smoków”, który jest specyficznym projektem radiowym, gdyż opiera się na społeczności słuchaczy. Jedna osoba, wcielająca się w „zwierzynę”, ukrywa się w publicznych miejscach Krakowa, a śledzący audycję, wysłuchując wskazówek, starają się rozstrzygnąć, o jakim miejscu jest mowa.

- Myślisz, że istnieje jakaś nieprzekraczalna granica między prowadzącym a słuchaczem?

- Wszystko zależy od prowadzącego. Myślę, że większość z nas chciałaby mieć dobry kontakt ze słuchaczem, ale znam takich dziennikarzy, którzy w ogóle nie oczekują więzi, nie jest im potrzebne oddziaływanie słuchaczy. Ja od początku byłem nastawiony na interaktywne programy. Właściwie bierze się to z mojej wcześniejszej pasji – przez wiele lat pracowałem jako Dj. Scena była moim żywiołem, a kontakt z tysięczną publicznością stanowił nie lada wyzwanie. W radiu wszystko to jest zastąpione wyobraźnią. Każdy ma przed sobą jedynie pulpit, nic więcej. Sami się realizujemy, dlatego radiowy show wymaga wielkiego wyczucia. Gdy stworzysz dobry program, w rezultacie otrzymujesz mnóstwo e-maili czy SMS-ów, telefonów, które są jedyną drogą porozumienia z słuchaczami. Granica znika także dzięki odbiorcom. Nasi słuchacze interesują się prowadzącym, chcą wiedzieć, jaki on jest.

- Czy słuchacze „AntyRadia” to wymagający odbiorcy?

- Nasze radio jest specyficzną rozgłośnią na polskim rynku mediów.

Od początku byliśmy kojarzeni ze znanymi nazwiskami. W naszym środowisku pracownik na każdym stanowisku stawia na indywidualność. W niektórych rozgłośniach prowadzący to tylko dodatek do muzyki. My jesteśmy nakierowani na coś innego. Słuchacz „AntyRadia” nie czeka na powielanie informacji powszechnie znanych. U nas nie ma miejsca na pierdoły, bo wymagania są całkiem inne. Jeżeli jestem na kacu, to mówię na antenie, że dziś mam zły dzień, bo leb mi napier... Nikt w „AntyRadiu” na siłę nie przykleja sobie uśmiechu...

- W takim razie jak wyobrażasz sobie słuchaczy?

- Nieraz miałem okazję ich poznać. Choćby w ostatnie święta Bożego Narodzenia, kiedy to brałem udział w akcji mikołajkowej. Odwiedziłem wiele osób, które otrzymywały od nas prezenty. Natrafiałem na studentów pijących piwo, osoby zamożne oraz takie, które mają wiele do powiedzenia i nie puszcza bokiem żadnego antenowego błędu. Generalnie przedział wiekowy jest dość duży, ale na małych latkach jeszcze nigdy nie natrafiłem.

- Krakowskie „AntyRadio” jest najmłodszą filią głównej jednostki. Jak zostaliście przyjęci w naszym mieście?

- Małopolska to trudny rynek. Jest tu wiele dobrych stacji i jedyna formuła, jaka mogła się przyjąć, to właśnie świeżość i szczerłość. Wiadomo, że Kraków został zdominowany przez stację, która króluje tu od dawna, ale my nie zamierzamy się z nikim ścigać, bo jesteśmy bezkompromisowi. W tym względzie nie mamy konkurencji. W każdym razie, po roku działalności, obserwujemy akceptację mieszkańców.

- Myślisz, że studia dziennikarskie są w stanie nauczyć zawodu radiowca? Spotykasz studentów, którzy się do czegoś nadają?

- Do „AntyRadia” przychodzi wielu studentów, zainteresowanie praktykami wciąż rośnie. Widać, że jest wiele osób odważnych, zdeterminowanych. Praktykanci podchodzą do pracy bardzo ambicjonalnie i na pewno nie można im odmówić zapału. Nie da się jednak ukryć,

że wdrażanie do pracy na antenie to proces strasznie złożony...

- Na co należy zwrócić uwagę, jeżeli by się chciało zaistnieć w tym kręgu?

- Na początku warto się w ogóle zastanowić nad tym, co by się w życiu chciało robić. Zajęcia reporterskie a prowadzenie antenowego show to właściwe skrajności. W tym drugim wypadku wcale nie trzeba być dziennikarzem, czasem wystarcza inteligencja i obycie. Magia radia jest na tyle zniwalażąca, że wiele rzeczy da się wykreować. Na pewno nie można się poddawać. Samozaparcie i pokora to właściwie uniwersalne cechy, które w tym zawodzie niesłychanie się przydają. Należy się poświęcić, wolnego czasu raczej się nie ma...

- W jaki sposób rozumiesz pojęcie „magia radia”?

- Wydaje mi się, że takim podstawowym czynnikiem prowokacyjnym jest głos radiowca. Podejrzewam, że wszyscy początkowo starają się wyobrazić jego fizyczność. Trzeba jednak zauważyć, że istnieje drugie dno tego stwierdzenia. Przeciętny słuchacz żyje w przekonaniu, że praca prezentera to nic trudnego. W rzeczywistości rzecz się ma inaczej. Wszystkie przygotowania ukryte są za kulisami. Tam także schowana jest praca zespołowa. O ile dobrze kojarzę, o magii radia mówił kiedyś Wojciech Mann. Powiedział, że „w radiu można zrobić wszystko”. Zgadza się. Tutaj jedna osoba może wpłynąć na tysiące słuchaczy. Magię tworzy czasem występ jednego człowieka, który przefiltrował pracę całego zespołu.

Rozmawiał:
Bartosz Walat

- Radio będzie istniało dopóty, dopóki będą słuchacze

- mówi Darek Maciborek z RMF FM

- O której godzinie rozpoczyna zazwyczaj dzień pracy Darek Maciborek?

- Trudno powiedzieć. Bywa tak, że zaraz po programie, gdy przesłuchuję nowe single i płyty, albo wcześniej rano, gdy przedzieram się przez obowiązkową prasówkę. Może w trakcie popołudniowych rozmów z artystami, którzy pojawiają się w programie, bądź po śniadaniu, w trakcie spisywania nowych pomysłów antenowych i odpisywaniu na e-maile.

- Ile on średnio trwa?

- Nigdy tego nie liczyłem. Ale nie są to jedynie trzy godziny spędzone na antenie. Tak naprawdę cieszę się, że mogę chodzić nie do pracy, ale do radia. Pewnie nie wytrzymałbym długo w ośmiogodzinnym cyklu codziennym. Każdy dzień w radiu, co może wydać się dziwne, jest inny od poprzedniego. Pytasz, ile godzin można spędzać w radiu. Zdarza się, że 10-12 godzin, ale tak bywa, gdy praca jest czyjaś pasją.

- Był pan dyrektorem programowym RMF Maxxx, teraz prowadzi pan kultową już

► **„POPlistę” w RMF-ie, jest pan twórcą wielu znanych i lubianych audycji radiowych. Czuje się pan człowiekiem spełnionym zawodowo?**

- I tak, i nie. Przechodziłem z radiem różne okresy rozwoju tego medium. Znajomi mówią, że w radiu znalazłem się od urodzenia. Tam zawsze jest coś nowego do stworzenia. Czy można w Polsce jeszcze coś w radiu osiągnąć albo czy jest jeszcze ktoś, kto potrafi zaskoczyć odbiorców? Zdecydowanie tak, nawet w sformatowanym radiu komercyjnym, z ciągle zmieniającym się rynkiem medialnym i słuchaczem.

- Jest pan człowiekiem sukcesu?

- Nigdy tak o sobie nie myślałem. Różnym ludziom sukces kojarzy się z czymś innym. Dla mnie sukcesem jest np. zakończenie pracy nad czterogodzinnym specjalnym programem świątecznym o The Beatles, który powstaje około dziesięciu dni, albo - ostatnio - mój powrót do malowania obrazów.

- Ile razy pojawiła się u pana myśl, żeby rzucić to wszystko i zająć się czymś innym?

- Oj, bywały takie momenty. Wtedy wyjeżdżam do Nowej Zelandii albo szukam swego miejsca w Bieszczadach. To wynika czasem z mojego zbyt porywczego charakteru, ale potrafię też włożyć głowę pod kran z zimną wodą.

- Pamięta pan swe początki w radiu?

- Tak. To radio, albo raczej radiowęzeł studencki, potem lokalne radio w Bielsku-Białej i RMF FM. Pamiętam pierwszy nocny program na kopcu Kościuszki. Wszystko było „naj”, wielkie i oszałamiające. Z przerażenia i tremy nie zauważałem dzungli wokół moich animacji. Pamiętam, że w pierwszej nocnej audycji grałem m.in. Stonesów i Red Hot Chili Peppers.

- Po tylu latach pracy na antenie czuje pan jeszcze adrenalinę przed wejściem do studia?

- Ktoś, kto pracuje w radiu i przestał odczuwać ów charakterystyczny dreszczyk emocji albo adrenalinę czy lekką treść przed kolejnym spotkaniem ze słuchaczem w eterze, powinien się chyba zastanowić nad zmianą zajęcia. Rutyna jest z czasem nudna, męcząca i co naj-

ważniejsze - zabija kreację. Słuchacz to słyszy, tak jak widz w teatrze wyobraźni. Pewien doskonały polski aktor powiedział kiedyś, że gdy przestanie odczuwać treść przed spektaklem, to będzie to czas zejścia ze sceny.

- Co, pańskim zdaniem, jest takiego magicznego i niepowtarzalnego w radiu?

- Zdecydowanie ów unikalny kontakt, jaki się nawiązuje między dwiema głównymi postaciami każdego spektaklu, między słuchaczem a prowadzącym program. Trudno czasem to uzyskać w ciągle przyspieszającym rytmie nowoczesnego radia. Ale nawet w radiach komercyjnych jest czas na oddech, uśmiech. Czasem porównuję swoje radio do jazdy samochodem i wtedy sprawdza się powiedzenie: nieważne, jakim samochodem podróżujesz, tylko z kim...

- Śladem wielu kolegów radiowców nie ciągnie pana do telewizji?

- Nie ciągnie... Nie wiem, jak się potoczy moja praca zawodowa za kilka lat. Nigdy nie mówię nigdy, niemniej nie zabiegałem jeszcze o występowanie na szklanym ekranie. To jest chyba tak jak w starym hicie Buggles „Video Killed The Radio Star”, a telewizja zabija magię słowa. Tam wszystko widać i brakuje już miejsca na wyobraźnię. A z drugiej strony takie programy, jak choćby kultowy „Saturday Night Live” w radiu są nie do zrealizowania.

- Jak, według pana, zmieniło się radio RMF FM w ciągu prawie 20 lat?

- To wypadkowa zmian czasów, gospodarki, techniki, ludzi z ich upodobaniami i nowymi przyzwyczajeniami. Dawniej obowiązywał model pracy od siódmej do piętnastej. A dziś ludzie pracują od dwunastej do siedemnastej z porą na lunch. Radio komercyjne, które nie żyje z abonamentu, musi podążać za słuchaczem. Moim znajomym, którzy wypominają mi zmiany komercyjne stacji, podaję jeden prosty przykład piekarza, który zbankrutował. Piekł wyśmienite bułeczki z ciemnego pieczywa, z ziarnami. Był przekonany o ich wyjątkowości, ale nikt ich nie kupował. Jego konkurent proponował natomiast takie, jakie co dzień kupowali ludzie. Jedynie dla koneserów miał coś ekstra... Radio podlega takim samym cyklom jak muzy-

ka popularna. Średnio co dwadzieścia lat następuje powrót twórców do korzeni, do gitarowego grania, do fascynacji muzyką elektroniczną czy disco itd. Tylko czekać, jak w radiu będzie więcej radia.

- Z RMF-ie dziennikarstwa uczyli się tacy dziennikarze jak Piotr Metz, Bogdan Rymanowski, Marcin Wrona czy Ewa Drzyzga. RMF FM to kuźnia dziennikarstwa?

- Chyba tak. Tu zawsze pracowali i nadal pracują najlepsi fachowcy. Choćby serwisy informacyjne Bogdana Zalewskiego to niespotykana poezja przekazywania faktów na polskim rynku medialnym. Jeżeli ktoś ma to „coś” w sobie i ogromny zapal do pracy, to RMF FM nadal jest najlepszym radiowym uniwersytetem. Pamiętam swój początek na krakowskim kopcu, gdy ówczesny szef anteny Edward Mischczak genialnie zachęcił mnie do pracy. W pierwszej naszej rozmowie zapytał: „Synku, czy ty wiesz, co to są media? Wycisną cię jak cytrynę i rzucą w kąt”. To fakt, w tej robocie trzeba czasem mieć twarde tylek i odkryć w sobie pasję, bo prawdziwa praca w radiu to chyba nie zawód, ale sposób na życie.

- Grupa RMF FM uruchomiła wiele kanałów tematycznych w serwisie www.niastomuzyki.pl, m.in. „RMF POPlistę”. Czy Internet jest jakimś zagrożeniem dla tradycyjnego radia?

- Radio będzie istniało dopóty, dopóki będą słuchacze. Internet to nie zagrożenie dla samego radia, ale zmiana platformy nadawania, wywołana zmieniającymi się czasami wymogami technicznymi. Fale eteru zostaną zmienione na system zero-jedynkowy przesyłu danych. Ale nadal muzyka, słowo, ludzie je tworzący pozostaną wartością i treścią oferty cyfrowej. Otwiera to nieograniczone możliwości dla wszystkich. Od lat lansowałem tezę, że wszyscy skończymy w sieci. I sam w nią z ochotą wskoczyłem. Właśnie na „Mieście Muzyki” mam autorską stację RMF Pop & Colors i autorskie programy „Po godzinach”. Co może chcieć więcej dziennikarz muzyczny bez komercyjnego selektora? Jedynie zarażania swoim, czasami maniakalnym wręcz, podejściem do muzyki i nowych odbiorców.

Rozmawiał:
Norbert Tomasik

Zaczyna się od *savasany*, czyli „pozycji trupa”

Joga uczy, jak nabrać dystansu do siebie i świata zewnętrznego

Tomasz Kucza

Praktykuje ją Sting, skołatane nerwy leczy nią Madonna, a mojej znajomej pomaga ponoć na miłosne frustracje. Joga, starożytny system ćwiczeń wywodzący się z Indii wyleczył z depresji połowę hollywoodzkich gwiazd, a niektórym zagubionym Europejczykom wskazał drogę ku szczęściu i samorealizacji. Czym naprawdę jest joga? O co w niej chodzi i czy faktycznie mogą ją ćwiczyć wszyscy?

Pierwszymi pisanymi źródłami mówiącymi o jodze są Wedy, starożytne księgi indyjskie, których powstanie datuje się na lata 1500-300 p.n.e. W sanskrycie termin *joga* oznacza 'scalenie', 'zespolecie' rozumiane jako 'zjednoczenie z Bogiem'. Praktyka opiera się głównie na wykonywaniu *asan*, pozycji gimnastycznych, które nierozdzielnie połączone są z oddechem. Całości dopełniają *pranajamy*, ćwiczenia oddechowe, oraz medytacja. Klasyczna joga to przede wszystkim religia i filozofia. Praktyka była drogą głębokiej duchowości i wyrazem poszukiwania Boga.

Współcześnie istnieje kilka dużych szkół jogi uczących według określonej metody opracowanej przez konkretnego mistrza. W Polsce najczęściej spotykanyymi stylami są *viniyoga* (kładący nacisk na koordynację ruchów z oddechem), *iyengar* (zwracający szczególną uwagę na właściwą postawę i dokładność wykonywanych *asan*) oraz *sivananda* (łączy ćwiczenia oddechowe z *asanami* i medytacją). W Krakowie działa kilka profesjonalnych szkół, które różnią się metodą prowadzenia zajęć oraz nastawieniem do osób praktykujących. Po zapoznaniu się z ofertą zdecydowałem się na szkołę Katarzyny Stryjniak-Erickson „Yoga International”.



Pozycja *savasana*

www.szokolajogi.com.pl

Po krótkiej i sympatycznej rozmowie telefonicznej dowiaduję się od instruktorki, że oprócz 25 zł i wygodnego, niekrępującego ruchów ubrania nie będzie potrzebne mi nic więcej. Jogę ćwiczy się boso. Pozytywne nastawienie i otwartość są mile widziane. Dla własnego dobra przed rozpoczęciem zajęć należy powiadomić nauczyciela o ewentualnych przebytych kontuzjach czy też problemach ze zdrowiem. W większości szkół obecność na zajęciach nie wymaga wcześniejszej rezerwacji.

Po przywitaniu z uroczą nauczycielką znalazłem się na dużej sali z rozłożonymi na podłodze niebieskimi matami. O kompleksach nie ma tu mowy. Ćwiczą wszyscy bez względu na wiek czy masę ciała. Atmosfera jest diametralnie różna od tej panującej w siłowniach i klubach

fitness. Wszyscy starają się być przyjaźni. Lekko speszony, kładę się na podłodze.

Zaczynamy od *savasany*, pozycji trupa. Chodzi o relaksację i wyciszenie umysłu przed właściwą praktyką. Leżąc na plecach, uczę się oddychać przepo- ną, prowadząc powietrze w dół brzucha. Z trudem udaje mi się opanować potok myśli płynący w mojej głowie. Uświadamiam sobie, jak bardzo jestem zaabsorbowany codziennymi sprawami i samym sobą. Nauczycielka instruuje, żebym nie oceniał pojawiających się myśli, ale jedynie biernie je obserwował.

Po kilku głębszych wdechach i wydechach siadamy ze skrzyżowanymi nogami. Zostaje odśpiewana trzykrotnie mantra „OM”, czego nawet się nie podejmuję zrobić. Samo słuchanie, jak robią to *Inn*, uspokaja i pozwala zapomnieć o świecie za oknem. ▶

► Później przychodzi czas na tzw. oddechy słoneczne. Tutaj sprawy trochę się komplikują, gdyż trzeba synchronizować oddech ze skłonami, unoszeniem rąk, wyprostowaniem pleców. Nauczycielka jednak uspokaja: „Każdy w swoim, indywidualnym tempie, delikatnie”. I faktycznie, trudno się tu doszukać jakichkolwiek oznak rywalizacji pomiędzy ćwiczącymi. Każdy skupiony na sobie i swoim oddechu, próbuje wykonać kolejne *asany* bez oglądania się na innych. Podejmuję zatem i ja nieśmiałe próby. W trakcie dowiaduję się czegoś o mięśniach znajdujących się w moim ciele, o których istnieniu do tej pory nie miałem pojęcia.

Surya Namaskar, powitanie Słońca, okazuje się dynamicznym układem połączonych ze sobą *asan*. Zgodnie z rytmem wyznaczonym przez oddech próbuję płynnie przechodzić z jednej pozycji w drugą. Właśnie teraz przekonuję się, że uprawiając jogę, również można się spocić. Ćwicząca koło mnie dziewczyna zapewnia z uśmiechem, że później bywa już tylko lepiej. Godzinna lekcja wypełniona jest ćwiczeniami o zaskakujących nazwach, jak np. „Patrzący w dół pies”, „Krokodyl” czy „Wojownik numer jeden”.

Dla początkujących przewidziany został cały zestaw ułatwień, w którego skład wchodzi paski, drewniane kostki, zrolowane koce; podkłada się je pod różne partie ciała. Wykonuję głównie ćwiczenia wprowadzające do pełnych *asan*, co pozwala mi się bez zbędnego stresu zapoznać z kolejnymi pozycjami. Przez cały czas trwania lekcji mogę liczyć na wsparcie i pomoc nauczyciela, który poprawia ułożenie ciała w razie potrzeby.

Całość zamyka znana mi już „pozycja trupa”, w której debiutanci dochodzą do siebie, a pozostała część przygotowuje się do powrotu do codzienności. Jeszcze tylko mantra „OM” i można z satysfakcją stwierdzić, że przeżyło się pierwszą lekcję jogi.

Osoby, które szukają nowych wrażeń, relaksu i wyciszenia, powinny znaleźć na zajęciach coś dla siebie. Nie dostąpiłem wprawdzie oświecenia ani też nie udało mi się połączyć z *Absolutem*, mimo to poczułem się zrelaksowany i trochę bardziej wyciszony. Pomimo zapewnień niektórych sław z pierwszych stron gazet joga nie rozwiązuje wszystkich problemów. Uczestniczenie w zajęciach nie gwarantuje bowiem odnalezienia miłości życia, spektakularnego sukcesu zawodowego czy też zdanej sesji. Uczy natomiast, jak nabrać dystansu do siebie i świata zewnętrznego. Praktyka medytacji bądź relaksacji może pomóc w wsłuchaniu się w siebie, pozbyciu stresu i wszelkich napięć.

Choć teoretycznie jogę może praktykować każdy, zajęć powinny unikać osoby po wypadkach i chore psychicznie. Ćwiczenia nie przypadną też do gustu zapewne tym, którzy szukają czegoś energicznego, podnoszącego błyskawicznie poziom adrenaliny i odbywającego się w imprezowej atmosferze. Wszyscy pozostali spokojnie mogą spróbować odkryć swoje ciało na nowo i zatrzymać się na chwilę w pędzie dnia codziennego. Podobno wszystkie odpowiedzi są w nas. Być może warto poszukać ich w ten sposób. ■

Teatr KTO LUTY 2009



05.02. czwartek	<i>Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać</i>	Teatr KTO
06.02. piątek	<i>Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać</i>	Teatr KTO
07.02. sobota	<i>Sprzedam dom, w którym już nie mogę mieszkać</i>	Teatr KTO
12.02. czwartek	<i>Atrament dla leworęcznych</i>	Teatr KTO
13.02. piątek	<i>Klepsydra</i>	Teatr A PART (Katowice)
14.02. sobota	<i>Atrament dla leworęcznych</i>	Teatr KTO
19.02. czwartek	<i>Atrament dla leworęcznych</i>	Teatr KTO
20.02. piątek	<i>Stuk</i>	Kabaret PUK
21.02. sobota	<i>Stuk</i>	Kabaret PUK
27.02. piątek	<i>Ostatnia godzina</i>	Teatr KTO
28.02. sobota	<i>Ostatnia godzina</i>	Teatr KTO



Wszystkie spektakle o godz. 19.00 w Teatrze KTO

Bilety/Tickets:
Spektakle – 30 i 20 zł
Kabaret PUK – 20 zł

Teatr KTO ul. Gzysików 8 Kraków
tel. 012 623 73 00 tel./faks 012 633 89 47, godz. 10 – 18
promocja@teatrkto.pl
www.teatrkto.pl

Centrum Informacji Kulturalnej
ul. św. Jana 2
tel. 012 421 77 78, godz. 10-18

Sesja pozostaje jednym z bardziej traumatycznych przeżyć w życiu studenta...

Trzeba to przeżyć, a później... odreagować

Początek. Nie, nie nowego roku, choć ten dla wielu jest przyjemnym wspomnieniem beztrudnej zabawy. Mówię o innym początku, przemożnej bestii, której wspomnienie zasiewa strach i przerażenie wśród braci studenckiej i powoduje nieopanowane drżenie rąk oraz kompulsywne ruchy gałek ocznych. Straszne słowa, których wypowiedzenie okupione jest wielkim wysiłkiem - tak, moi drodzy, oto ona, królowa wszelkich dyskusji ponoworocznych trwających aż do połowy lutego - sesja.

Zdawaloby się, że sesja to niewinne słowo. Są sesje fotograficzne, których także estetycznym efektem pozostają okładki błyszczących czasopism. Są sesje parlamentów i rad miast, podczas których wielu z demokratycznie wybranych przedstawicieli stara się udawać, że coś robi i przetrwać kolejny rok. Są wreszcie sesje treningowe wyciskające siódme poty z nieszczęśników, którzy mają wysoki próg bólu i równie wysoki stopień masochizmu.

Jednak nas, studentów, to nie obchodzi - a ignorowanie jest całkowicie uzasadnione. W połączeniu z dość przerażającym obrazem umieszczonym przez matkę naturę za oknem sesja zimowa pozostaje jednym z bardziej traumatycznych, okresowych przeżyć w życiu studenta.

Jak temu zaradzić? Nie jest łatwo - musimy bowiem oprzeć się natrętnej świadomości, że oto zaraz po przeżuciu tego maratonu nie czeka na nas rozkoszna nagroda trzech miesięcy wolności, ale raczej przewidywalna przynęta rzucona przez system oświaty w postaci kilku dni oddechu.

Nie będę tu pisać o tym, że wcześniejsze przygotowanie zapewni wam spokojny sen. Nie będę wam też pisać, jak znajomość z osobami pilnymi i ambitnymi może mieć wymierne korzyści w postaci pozytywnych zaliczeń. Nie wspomnę także o ważnej roli systematycznej obecności na zajęciach i choć epizodycznego, ale jednak aktywnego w nich udziału. I w końcu nie powiem

wam, jak czerwone i błyszczące świeże jabłko okazuje się tylko bajkową formą zabiegania o cieplejsze uczucia ciała profesorskiego.

Dla nas, tych małych, którym obce są tak cyniczne działania, ważne są codzienne przyjemności rozpraszające owe czarne chmury kłębki.

Tylko co wybrać? Dla jednych na pewno odskocznią będzie wysiłek fizyczny. I choć sama unikam raczej tego typu aktywności, to jednak dobrze rozumiem chęć fizycznego wymęczenia organizmu. Jednak co z tymi, którzy nie czują przyjemności z samoumartwiania? Dla nich druga strona medalu - *comfort food*. Określenie używane szczególnie często w USA oznacza jedzenie niezbyt wyszukane i raczej gotowane w domowym stylu. Jest najczęściej dość ciężkie i aromatyczne, dlatego też okazuje się wręcz idealnym rozwiązaniem na wciąż chłodne zimowe dni.

Jeśli czujemy nieodpartą chęć zalepienia sobie żołądka wszelkimi słodkościami, prawdopodobnie nic nie przebije „Czekolady”, czyli lokalu na Brackiej. Lokalik jest dość spory i wystarczająco ponury na tę porę roku. Gdy podchodzicie do lady, by złożyć zamówienie, wasze zmysły zostają zaatakowane przez wszechobecne aromaty i smaki - cynamon, kardamon i zapach doskonałej jakości kakao doskonale wpasowuje się w ideę balsamu dla duszy. Jeśli zjawicie się o odpowiedniej porze, być może uda wam się złapać ostatni kawałek pysznego krakowskiego sernika, którego już pierwszy kęs przywołuje wspomnienia o ciepłym domu i babcinych wypiekach - a właśnie o to chodzi w idei *comfort food* - jedzenia, które tworzy kojącą atmosferę i pozwala na chwilę zatrzymać się w wielkomiejskim (lub małomiejskim) pędzie.

No dobrze, ale co jeśli czekolada nie jest naszą miłością i wolimy bardziej zdecydowane i ostre smaki? Niedawno pojawiła się bardzo ciekawa możliwość - jedzenie hinduskie. Jeśli czytając te słowa, stanęła wam przed

oczami wizja sieciowych lokali spod znaku „Bombai Tandori”, odgonicie je natychmiast. Mówię o prawdziwej, prostej i aromatycznej kuchni autorskiej - „Orient Ekspres”. Nazwa słusznie wam się kojarzy ze sławnym filmem spod znaku Agathy Christie „Morderstwo w Orient Ekspresie”. Czekajcie was bowiem ekskluzywna podróż, gdzie śmierć z powodu przejeżdżenia nie jest niemożliwa. Pod koniec ub. roku restauracja zatrudniła prawdziwego hinduskiego kucharza Ashisha Agrawala, który stworzył swoją autorską kuchnię - być może łagodniejszą ze względu na europejskie delikatne podniebienia, ale wciąż autentyczną. Ceny umiarkowane - jedzenie smaczne i proste. I o to właśnie chodzi.

Po strawie dla ciała czas na strawę dla duszy. Cóż może robić w Krakowie student, jeśli nie rozwijać się - zwiedzać wystaw, odwiedzać kina i teatry czy liczne księgarnie? Nie ma mowy ekspresyjnych rozrywkach. Nie powinniśmy się przecież tak intensywnie forsować, stojąc w obliczu zmagań umysłowych.

Udajmy się więc w kilka miejsc - po pierwsze polecam księgarnie „Massolit Café” - miejsce, gdzie w takiej lekko stęchłej, ale bardzo przyjemnej atmosferze możemy spędzić kilka godzin, przeglądając i podczytując książki zarówno nowe, jak i te używane. Nikt nas nie będzie pospieszał ani nerwowo wskazywał na zegarek.

Kolejnym miejscem jest na pewno „Bunkier Sztuki”, gdzie zawsze dzieje się coś ciekawego. Kuratorzy tego miejsca od lat nie próżnują i starają się zaskakiwać krakowian coraz to śmielszymi i oryginalniejszymi wystawami.

Warto również odwiedzić mniejsze kina - kina studyjne. To właśnie tu możemy obejrzeć filmy rzadkie, z krajów nieco dla nas egzotycznych, jak Islandia, Wietnam czy Afganistan. Po drugie spotkamy tu filmy starsze lub te, które nie miały szczęścia znalezienia sponsora, a tym samym nie trafiły do ogólnopolskiej, czy nawet ogólnoeuropejskiej dystrybucji.

Jest oczywiście jeszcze wiele innych sposobów na pozbycie się depresji. Ważne, by w takim okresie znaleźć coś, co nas poratuje - dla jednego będą to godziny spędzone ze starymi filmami na DVD, dla innego mozolne czyszczenie rdzy z armatury łazienkowej. Nie wnikając w tak osobiste preferencje, polecam tylko waszej uwadze jedno - żebyście, zajmując się odwróceniem uwagi od szarych zimowych dni, nie przespali jednego - sesji.

Joanna Oparcik

anty_koncepcja tandety

Krwawiący polipropylen podrzucony do sklepu belgradzkiego rzeźnika

Bartosz Walat

We współczesnych czasach plastiku, kitu i samowystarczalnej materii bardzo rzadko mamy do czynienia z jakimikolwiek objawami ludzkiej ingerencji w szeroko rozumiane zło. Oczywiście **każda inność czy agresja są zwalczane**, czasem aż nadto, szczególnie w przypadku tego pierwszego, jednak powszechnie pielęgnowana jest obojętność na czyjeś uczucia czy odczucia. Chyba że mamy do czynienia ze śmiercią. Bo nawet gdy jest symulowana i przemawia z za szyby, budzi niewątpliwie skrajne emocje nie tylko samych zainteresowanych.

Nie zamierzam wygłaszać wszelkich opinii i osądów bezpośrednio wiążących się z samym czarnym zakończeniem ludzkiego istnienia. Chciałbym jedynie przeświecić i zakreślić postawę wpływowych zbulwersowanych postaci, dla których **granica życie – sztuka** jest bardzo cienka, a wszelkie przejawy krwawego manifestu – z góry posądzane o kultywowanie szatana.

W latach dziewięćdziesiątych ub. wieku, gdy sztuka całego globu zaczęła natarczywie ingerować w życie zatwardziały tradycjonalistów, mieliśmy do czynienia z wieloma niekonwencjonalnymi projektami. Jednym z twórców zakazanych był pochodzący z okolic Belgradu **Darko Maver**. Stał się aranżerem symulowanych morderstw popełnianych na terenach Bośni i Hercegowiny. Zmasakrowane zwłoki znajdowały się w hotelach, szpitalach, letnich rezydencjach. Intencją autora było stworzenie wrażenia „pajęczyny” zdarzeń. Wiadomości na temat zbrodni miały się ukazywać w codziennej prasie, magazynach sztuki i raportach policji. **Chodziło o wykreowanie mitu** na temat własnej osoby, jak również pokazanie, w jaki sposób media wpływają na ludzką percepcję rzeczywistości.

Wszystkie rzeźby i instalacje wykonane były z **polipropylenu i PCV**. Stało się to wielkim dokonaniem tego nieprzeciętnego uczestnika warsztatów artystycznych, organizowanych przez belgradzką Akademię Sztuk Pięknych. Projektant realnie wyglądających form zostawał wielokrotnie aresztowany pod zarzutem morderstw, jednak brak dowodów wykluczał dłuższe zatrzymania. „Zmarł w 1999 r., mając zaledwie trzydzieści siedem lat. Okoliczności do dziś nie są znane” – tak brzmiały notki o rzeźkomej śmierci Mavera w areszcie policyjnym. Pomińmy fakt, ile w tym prawdy...

Twórca plastikowych happeningów tworzył niespełna siedem lat, rozpoczął dyskusję, która w niektórych kręgach trwa do dziś. I choć temat niewątpliwie zmierza do zarysowania granic sztuki, ja w tej kwestii oczekuję subiektywnych przemyśleń ze strony odbiorców. Sam uważam działalność Darko Mavera za jedno z najbardziej **wpływowych i rewolucyjnych** zajęć w sztuce. Tym samym chciałbym zmanifestować potrzebę indywidualnego rozstrzygnięcia, co tak naprawdę wpływa źle na kształt omanianej ludzkości. Niestety. Od wielu lat stronnice organy naświetlające pozorne zagrożenia nieprzerwanie chronią przypadkowych odbiorców przed jakimikolwiek objawami i chęciami powszechnego i bezgranicznego uświadamiania.

Jeżeli wszechstronna konwencjonalność uważana jest za nudną, a twórcze zwalczanie czyjejs inicjatywy będzie nadal tłumione działaniami policji, to już nic nie będzie w stanie doprowadzić do konkretnych zmian w nastawieniu ogółu. Skoro rzeczywiście **śmierć w sztuce jest tak obrazoburcza**, to może wykluczmy ją z innych dziedzin, które tylko dzięki niej mogą funkcjonować. Wtedy będziemy mogli przestać o niej mówić, bo przecież nie mówi się o nieobecnych...



JUST GET UP

- Czytałam wiele ale i tak zawsze

O życiu zaklętym w zdjęciach oraz o świecie uchwyconym fotografką Justyną Olchawą

- Pod koniec ubiegłego roku odbył się wernisaż twoich zdjęć, zorganizowany przez „Artystyczne Stowarzyszenie .scal_art”. Czym on był dla ciebie? Myślisz już o następnych?

- Była to próba konfrontacji mnie z resztą świata. (śmiech)

- Z jakimi efektami?

- Wpłynęło to najbardziej na wzrost mojej samooceny. Wystawa jest dużą motywacją, by rozwijać swą pasję.

- Twój wernisaż odbył się pod sztandarowym hasłem „Moja nieobecność”. Skąd pomysł na taki tytuł?

- ... bo wydaje mi się, że sfotografowane przeze mnie postacie są wyobcowane, nieprzystające do dzisiejszych czasów. Być może udało mi się to osiągnąć poprzez ich rozczłonkowanie,



Zdjęcie z wystawy „Moja nieobecność”

podręczników, robię po swojemu...

i o pasji zaklętej w życiu
obiektywem z początkującą
rozmawia Joanna Nieć

nie pokazałam ich w całości. Są obecne fizycznie, lecz duchowo zagłębione we własnej melancholii.

- Czy zatem twoje zdjęcia manifestują ocenę dzisiejszego świata? A jeśli tak, to co mu zarzucają?

- Nie posuwałabym się aż tak daleko w ich interpretacji, nie chcę dobudowywać do nich zbędnej ideologii czy niepotrzebnego przesłania. Po prostu przedstawiają „mój świat” zatrzymany w czasie, melancholijny, oderwany od rzeczywistości.

- Fotografujesz ot, tak? Czy jest to proces spontaniczny? Co decyduje o tym, że uwieczniasz tę, a nie inną postać? Głównie fotografujesz ludzi...

- Przeważnie jest to spontaniczne. Czasem się widzi moment, który do

nas przemawia, i chce się go zachować. Fotografuję znajomych, a że nie mam skłonności do namawiania ich, by wzięli udział w sesji, z reguły są to ci, którzy zgodzili się dobrowolnie.

- Mówisz o spontaniczności, podczas gdy ze zdjęć wyziera pewna poza. To naturalność twoich modeli czy sztuczny zabieg pod twoje dyktando?

- Zależy. Nie zawsze jest to całkowita spontaniczność. Czasami proszę o powtórzenie czegoś, czego nie zdążyłam uchwycić, lub o zmianę postawy. Robię to w celu ulepszenia kompozycji. Same sytuacje jednak miały miejsce w rzeczywistości i nie kreowałam ich od podstaw.

- Większość twoich zdjęć jest czarno-biała. Dlaczego?

- Ta kolorystyka ma inną moc wyrazu. Jest dużo mocniejsza i głębsza. Według mnie kontrasty światłocienia dogłębniej wydobywają efekty estetyczne.

A w jakich barwach ty widzisz świat?

- Niestety, w szarych. Chciałabym to zmienić, ale taka jest moja natura.

- Jesteś więc zdeklarowaną pesmistką, a jeśli tak, to są chwile, w których wątpisz w to, co robisz, tworzysz?

- Często...

- Możesz to rozwinąć?

- Fotografuję, bo to kocham. Jednak każdy chciałby czuć się przez kogoś doceniany, bo wtedy jego twórczość zyskuje na wartości i nadaje się jej sens. Dlatego tworzenie do szuflady często zabija pasji. Nawet teraz, po wernisażu, postawiłam sobie wyżej poprzeczkę. Wymagam od siebie więcej, dlatego też odrzucam niektóre prace.

- Czy popadłaś w kult swojej pasji, albo może odwrotnie – czy zdarzyło ci się kiedyś potargać swoje zdjęcia?

- Prędzej to drugie. Czasem zdjęcie podoba mi się chwilę, wydaje mi się dobre, po czym oglądając wielokrotnie, stwierdzam, że jest banalne, źle skomponowane, i po prostu je chowam. Bywa, że zyskuje w moich oczach dopiero po jakimś czasie. Bardziej jednak frustruje mnie samo fotografowanie.

- Co masz na myśli?

- Idąc nieraz ulicą, ubolewam, że nie mam ze sobą aparatu, po czym gdy go zabieram, nie dostrzegam nic interesującego. Najczęściej jest to dla mnie niespodzianka, bo najlepsze, jak się okazuje, wychodzą zdjęcia niezaplanowane.

- Kiedyś powiedziałaś, że urzeka cię realność zdjęć. Jak ją uchwycić w obiektywie, gdzie jej szukać?

- Szukać należy wszędzie. Wystarczy wyostrzyć zmysły, uruchomić wyobraźnię, a wszędzie znajdzie się coś godnego uwagi. Fotografia pomaga uchwycić momenty, których w biegu nie zdążymy kontemplować. Daje nam możliwość późniejszego oglądu na papierze, pochylenia się nad czymś, refleksji. W poszukiwaniach trzeba zmienić sposób postrzegania świata, trzeba patrzeć na otaczającą nas rzeczywistość bardziej dogłębnie, wtedy zawsze ujrzymy coś ciekawego.

- Czy zatem zdjęcie, poprzez wytworzenie specyficznej aury, umożliwia ci kontemplację?

- Fotografia obrazuje to, że są rzeczy, którym warto się przyjrzeć, a które często nieświadomie pomijamy. Jej estetyczny wyraz na pewno wprowadza w inny klimat. Każdy z nas przecież ma potrzebę przebywania z pięknem...

- Stary rok zamknęłaś grudniowym wernisażem. Masz jakieś plany związane z fotografowaniem, które chciałabyś ziścić w nowym roku?

- Mam, ale na razie w okresie zimowym jestem jak niedźwiedź, który by się wołał schować i przespać ów trudny okres... (śmiech) ■

Justyna Olchawa, pasjonatka fotografii; urodziła się w laśle w 1987 r.; studentka III roku kulturoznawstwa w Wyższej Szkole Filozoficzno-Pedagogicznej „Ignatium” w Krakowie.

W grudniu ubiegłego roku zaprezentowała swój artystyczny dorobek na wernisażu „Moja nieobecność” zorganizowanym przez „Artystyczne Stowarzyszenie „scal_art”.

Witajcie w ciężkich czasach

O filmie „Wielki sen” z 1946 r.
w reżyserii Howarda Hawksa

Joanna Oparcik

Jak już wiecie, uwielbiam stare kino. Nic na to nie poradzę. Nie przeszkadzają mi ani nieco groteskowe miny i zachowania aktorów, wpisujące się w konwencję, ani czarno-biały obraz, wyprany z kolorów. Pewnie przez duże – a zdecydowanie większe niż obecnie – podobieństwo do teatru darzę ów rodzaj filmów szczególnym, nieco udratyzowanym i zromantyzowanym zachwytem.

Epoka, która szczególnie do mnie przemawia, to kino lat 40. ub. wieku. To właśnie wtedy zrodziła się w pełni idea filmów *noir* – ponurych kryminałów z pozytywnym bohaterem, który jednak nie zawsze postępuje szlachetnie, wychodząc niejednokrotnie z założenia, że cel uświęca środki.

Bardzo trudno było mi wybrać jeden film, który by w pełni mógł zaprezentować modelowy wręcz przypadek takiego kina. Nie miałam wątpliwości co do jednego: tego, że musi to być film z Humphreym Bogartem, aktorem, który pomimo posiadania w swoim dorobku pokaźnej liczby filmów kinomanom zawsze się będzie kojarzył z postaciami milczących i piekielnie inteligentnych detektywów.

Filmy *noir* są dosłownie czarne – większość akcji dzieje się w nocy, często podczas padającego deszczu, a jeśli pojawia się światło dnia, to jest ono najczęściej przydymione i nieostre, jakby zasnuwane warstwą papierosowego dymu. Postacie są wyraziste – niezależnie od tego, czy są to mężczyźni, czy kobiety – faceci twardzi i raczej mało przyjemni, a kobiety przebiegłe i zimne. Jednym słowem – typowe suki. Atmosfera bywa duszna i depresyjna, co w połączeniu z nieco zagmatwaną intrygą powoduje niesamowite utożsamienie się z bohaterem. Tak samo jak on odnosimy wrażenie, że ktoś tu do końca nie jest z nami

szczerzy. Poczucie lekkiej dezorientacji wydaje się wszechobecne. W filmach z lat późniejszych podobną stylistykę odnajdziemy np. w filmie Romana Polańskiego pt. „Chinatown”.

Co więc wybrałam? Zastanowiłam się, który z filmów tego gatunku mogę oglądać wiele razy z rzędu, który nigdy mi się nie nudzi i zawsze mnie zaskakuje. Wybór padł na „Wielki sen”, film z 1946 r. w reżyserii Howarda Hawksa, twórcy także takich dzieł, jak „Mieć i nie mieć”, czy wielu westernów z „Rio Bravo” na czele.

W tym filmie Humphrey Bogart kolejny raz wcielił się w rolę Philipa Marlowe’a z powieści Raymonda Chandlera (również je gorąco polecam). Jako najemnik, prywatny detektyw dostaje zlecenie ochrony Carmen, córki pewnego bogacza, i rozwikłania kwestii jej szantażowania. Zadanie wydaje się banalnie proste i pozbawione jakichkolwiek problemów. Oczywiście są to tylko pozory. Wkrótce okazuje się, że zostaje wykorzystany w układance o wiele większym zakresie. Na swojej drodze spotyka coraz więcej trupów, które mają skutecznie odwrócić uwagę policji i zainteresowanych osób od prawdziwego źródła kłopotów. Wraz z rozwojem akcji przekonamy się, że choć to Carmen była powodem zatrudnienia Marlowe’a, to jednak nie ona, ale jej starsza siostra Vivien będzie kluczem do rozwiązania tajemnic rodziny Sternwoodów.

W tym miejscu zatrzymajmy się właśnie na postaci Vivien granej przez Lauren Bacall. Ta piękna aktorka stała się takim samym pierwowzorem filmów *noir* dla postaci kobiecych, jak Humphrey Bogart dla postaci męskich. Warto dodać, że byli oni parą i małżeństwem od lat 40. aż do śmierci aktora w 1957 roku. Co ciekawe, duża różnica wieku zdawała się nie być dla nich przeszkodą,

ponieważ zarówno w życiu, jak i na ekranie tworzyli harmonijną, równorzędną sobie parę.

Postacie grane przez Bacall odznaczają się zawsze wielką klasą – niezależnie od tego, czy występuje ona w dramatach, czy w komediach. Filmy „Jak poślubić milionera” z Marilyn Monroe i „Żona doskonała” są tego świetnym dowodem – aktorka wnosi do filmu pewne ulotne i szlachetne piękno, o nieco smutnym, czy raczej ciemnym zabarwieniu.

Warto też wspomnieć o muzyce Maksa Steinera, kompozytora wielokrotnie nagradzanego za pracę w Hollywood. Choć nie jest to film muzyczny, to jednak wszystkie kompozycje, nawet jeśli wydają nam się niezauważane, doskonale podkreślają atmosferę filmu i wprowadzają nieco niepokoju. Nie jest to muzyka pierwszoplanowa, ale właśnie na tym polega jej siła. Stanowi niejako integralną część filmu – nasuwa mi to skojarzenie z dziełem Anga Lee „Ostrożnie, pożądanie”, gdzie piękną ścieżką dźwiękową możemy w pełni docenić, kupując chociażby CD. W trakcie filmu muzyk idealnie i dyskretnie wypełnia wszelkie zakamarki filmowej taśmy.

Nie chcę wam szczegółowo opisywać treści filmu „Wielki sen”, zresztą biorąc pod uwagę wielość wątków i mylących tropów, opis i tak nie byłby kompletny. Chcę was po prostu zachęcić do odkrywania poszczególnych gatunków kina i wgrzyzienia się trochę głębiej w jego historię. To, co godne uwagi w wielu filmach *noir* (a w „Wielkim śnie” objawia się to w pełni), to fakt, że nawet po zakończeniu filmu odczuwany powinien być niepokój. Niby wszystko zostało rozwikłane, niby zło zostało osądzone, wyroki – najczęściej sprawiedliwe – już zapadły, ale wciąż pozostały wątpliwości. Dosięgną was one za każdym razem, kiedy obejrzyjecie ów film... ■



Przed seansem „Katynia” miałem nadzieję, że zostaną poruszony, że zobaczą historię, która mnie wzruszy, która sprawi, że bardzo trudno będzie o niej zapomnieć, że bohaterowie sprawią, iż poczuję się tak, jakby to mnie osobiście dotknęła ta tragedia. Niestety, nic z tego...

Siedem „grzechów” Wajdy

Jakub Łysek

„Ja w ogóle nie lubię chodzić do kina, a szczególnie nie chodzę na filmy polskie...”. Ten cytat inż. Mamonia, zapożyczony z kultowego filmu „Rejs”, mimo że ma kilkanaście lat, nic nie stracił z aktualności. Polskie kino umiera z uśmiechem na ustach. Nie jest to wina „komuny”, która była w Polsce, bo paradoksalnie w tamtym okresie powstały najwybitniejsze dzieła polskiej kinematografii. Nie jest to tym bardziej brak funduszy, gdyż często sprawdza się teza, że im mniej ma reżyser funduszy na film, tym lepiej dla jego finalnego efektu. Nasze kino cierpi przede wszystkim dlatego, że kręci się jedynie komedie romantyczne, dramaty społeczne oraz ekranizuje lektury. Gdy polscy twórcy starają się zrobić coś innego, to wychodzi im twór na miarę „Katynia”...

Przed seansem miałem nadzieję, że zostaną poruszony, że zobaczą historię, która mnie wzruszy, która spowoduje, że bardzo trudno będzie o niej zapomnieć, że bohaterowie sprawią, iż poczuję się tak, jakby to mnie osobiście dotknęła ta tragedia. Niestety, nic z tego. Do tej pory nie mogę zrozumieć, dlaczego Andrzej Wajda (podobno nosił

się z zamiarem zekranizowania zbrodni katyńskiej kilkanaście lat), mając taki temat na poruszający dramat, zrobił tak pospolity film? Zbyt dużo „grzechów” popełnił reżyser przy realizacji „Katynia”...

Pierwszym z nich jest za bardzo rzucająca się w oczy sztuczność i poprawność polityczna. Wajda postanowił zrobić film, którego nie będzie się dało interpretować jednoznacznie w myśl ▶



► „wszyscy Rosjanie są źli”. Bardzo subtelnie wybrnął z tego problemu, wprowadzając jedną z najbardziej nieprawdopodobnych w całym filmie postać dobrego Rosjanina. Ten oto wspaniały bohater, ryzykując własne życie, ratuje Maję Ostaszewską i jej filmową córeczkę przed niechybną śmiercią.

Trudno uwierzyć, że taka scena miała kiedykolwiek miejsce. Jest wiele scen, w których sztuczność bije widza po oczach. Chociażby przesłuchanie postaci, w którą wcieliła się Magdalena Cielecka. Bohaterka nie daje się złamać dwóm zakłamanym urzędnikom, postępuje tak, jakby wiedziała, że za kilkadziesiąt lat system komunistyczny upadnie, a ona będzie żyć w wolnej Polsce, w której prawda wyjedzie na jaw. Dlaczego do tej sceny Wajda nie wprowadził choćby odrobiny realności tamtego okresu w postaci bicia przesłuchiwanej czy chociażby straszenia gwałtem? Po czymś takim na pewno odechciałoby się bohaterce nagrobka i grania twardej patriotki.

Inna sztuczna scena to ta, w której rotmistrz Andrzej garny przez Artura Żmijewskiego podczas spotkania z żoną, mając możliwość ucieczki, twierdzi, że w wojsku jest jego miejsce, a przysięga wojskowa ważniejsza niż małżeństwo. Przez takie sceny właśnie cały film traci na realności i naturalności...

Drugim „grzechem” Wajdy jest wszechobecna symbolika występująca w filmie. Od pierwszej sceny reżyser atakuje nas prostackimi, szkolnymi symbolami, np. zbliżeniem na skamłającego pieska na moście w otwierającej film scenie ucieczki Polaków czy najazdem kamery na rozdieraną flagę polską. Najbardziej niepotrzebnym i całkowicie bezsensownym symbolem wydaje się wystająca ponad mogiłę martwa ręka trzymająca różaniec. Tak prostackie symbole nie przystają Wajdzie...

Znacznie ważniejszym „grzechem” jest podejście reżysera do przedstawienia owej historii. Nie ma tu typowo fabularnego obrazu ukazującego nam tragedię z punktu widzenia głównego bohatera. Dlaczego? Ponieważ w tym filmie takiego nie ma. Brak tu kogoś, z kim widz mógłby się emocjonalnie łączyć, nie ma jednej centralnej postaci, wokół której rozwijałaby się cała fabuła. Wajda, wprowadzając zbyt dużą liczbę mniejszych bohaterów, nie mógł zarysować

w sposób odpowiedni ich cech charakterów, cech osobowości czy motywów postępowania.

Aktorów jest w filmie po prostu za dużo. Sama ich gra pozostawia wiele do życzenia, została całkowicie pozbawiona jakichkolwiek emocji. Aktorstwo w „Katyniu” to dla mnie poziom „M jak miłość” lub „Na dobre i na złe”, skąd zresztą pochodzi znaczna część obsady. Czy w Polsce nie ma nowych utalentowanych aktorów? Czy widz musi być wiecznie skazany na Małuszyńskiego, Chyrę czy Żmijewskiego?

Poza tym film wygląda tak, jakby był kręcony w latach 60. ub. wieku. To kolejny „grzech” Wajdy. Styl, w jakim został nakręcony, poraża, męczy i nuży. Brak dynamiki oraz statyczność realizacyjna powoduje, że „Katyn” przypomina teatr. W scenie, w której Żmijewski, wskazując żołnierza, który się załamał i próbował dwukrotnie popełnić samobójstwo, nie widać na szyi choćby zaczerwienia. A przecież musiała je pozostawić lina, na której ów żołnierz chciał się powiesić. W teatrze to faktycznie nie miałyby znaczenia, gdyż widzowie z dalszych rzędów i tak by tego nie zauważyli. Ale to jest kino, reżyser najwyraźniej o tym zapomniał. Całkowicie teatralnie prezentuje się scena, w której Małuszyński, drapiąc napis na desce, czyta jego treść na głos.

Piątym, niewątpliwym, „grzechem” Wajdy jest pójście na łatwiznę przy scenach ekshumacji ciał polskich żołnierzy we wspólnej mogile. Reżyser po prostu wygrzebał z archiwum IPN kilka ujęć, które następnie zmontował i puścił. A mógł przecież całość sam nakręcić, ustylizować na materiał archiwalny, gdzie widać by było zbliżenie na czaszki, kości, rzeczy osobiste zamordowanych żołnierzy. Na pewno bardziej efektowne i wstrząsające dla widza byłoby pokazanie lekarza próbującego dopasować żuchwę do czaszki, grzebiącego ołówkiem w ranach postrzałowych głowy, a w tle pokazać wesółych żołnierzy niemieckich, palących papierosy i kpiących z tragedii, która tam miała miejsce.

Za mało Katynia w „Katyniu”. Paradoksalnie film nie skupia się na losach żołnierzy w niewoli, lecz na życiu ich bliskich w kraju. Jest to następny „grzech” Wajdy. Nie można robić filmu

o zbrodni, pokazując ją dopiero na drugim, a nawet trzecim planie. Widza nie interesują problemy żon czy matek polskich oficerów. Jego interesują właśnie oni – więźniowie bestialsko zamordowani przez NKWD. Nie da się w pełni pokazać dramatu tych żołnierzy ostatnimi dziesięcioma minutami filmu. Choć trzeba przyznać, że końcówka naprawdę robi wrażenie...

Ostatnim, siódmym, „grzechem” Wajdy jest zbytnia hermetyczność jego dzieła. Film jest właściwie niezrozumiały dla obcokrajowców, którzy w znacznej większości nie znają historii Polski. Brak mu historycznego wstępu, nawet nie wspomniano o pakcie Ribentrop – Mołotow, tajnym protokole i jego konsekwencjach. Bardzo słabo zostało nakreślone życie w komunistycznej Polsce, przez co widz może mieć problemy z pełnym zrozumieniem fabuły.

Wajda powinien stworzyć film kontrowersyjny, subiektywny, a nawet stroniczy. Powinien rzucić oskarżenie, bo przecież zbrodnia katyńska jest faktem, są w niej ofiary, jak również kaci. Ten film powinien być polskim „JFK” Olivera Stone’a. Wajda powinien szokować widzów jak kiedyś to zrobił Gibson „Pasją”. Powinien dobitnie pokazać, że nie tylko istniało ludobójstwo Żydów w Oświęcimiu, ale również Rosjanie dokonali w swoim czasie straszliwej zbrodni, którą później starali się skrupulatnie zatuzować. Być może przez ten film nawet powinny pogorszyć się stosunki naszego kraju z Rosją, byłby to dowód na to, iż film ma jakiś wpływ na odbiorców, że kwestia katyńska jest wciąż żywa w społeczeństwie.

Na szczęście Amerykańska Akademia Filmowa nie przyznała „Katyniowi” Oscara, bo absolutnie na to nie zasłużył. Wina w tym samego reżysera, gdyż zagłaskał ten film na śmierć. Przez to, że nie jest kontrowersyjny, jest płaski w odbiorze, nie wywołuje emocji, tylko politowanie nad sytuacją polskiego kina. Wajda już dawno powinien odejść na emeryturę, czego potwierdzeniem może być właśnie „Katyn”. Mam tylko nadzieję, że ktoś w końcu porządnie podejdzie do kwestii ekranizacji zbrodni katyńskiej. Wajda swoim dziełem postawił poprzeczkę bardzo nisko, więc przeskoczenie jej nie będzie wielkim wyzwaniem... ■

- To naprawdę niesamowite przeżycie. Jestem wolontariuszką Małopolskiego Hospicjum dla Dzieci im. św. o. Pio od niedawna i nie spodziewałam się, że tym dzieciom można dać tyle radości...

Nie trzeba wiele, by pomóc innym

Mirka Kędzierska

6 grudnia – owa data kojarzy się jednoznacznie z najukochańszym świętem dzieci na całym świecie. Stos prezentów czeka w skarpecie nad kominkiem albo koło łóżka – któż z nas nie lubi ich dostawać? Ale dłużej wspominam o św. Mikołaju, który już dawno wrócił do siebie na wspaniałych saniach pociąganych przez renifery z Rudolfem na czele? Myślę, że warto wspomnieć o pełnych zapału młodych wolontariuszach Małopolskiego Hospicjum dla Dzieci im. św. o. Pio, którzy poświęcili swój czas tym najbardziej potrzebującym. Mikołaje wraz ze swymi pomocnikami odwiedzili 19 rodzin, w tym 21 pacjentów.

- To naprawdę niesamowite przeżycie. Jestem wolontariuszką od niedawna i nie spodziewałam się, że tym dzieciom można dać tyle radości przez, wydawać by się mogło, zwyczajne, proste zachowania: samo przyście, rozmowa, uśmiech. Wdzięczność płynąca z drugiej strony dodaje mi skrzydeł, jak nic innego na świecie. Oczywiście, każde z nich otrzymało piękne prezenty. Może to banalne, ale po raz kolejny odkryłam, że dawanie ma o wiele większą wartość niż branie – przyznaje się Judyta, licealistka.

Rzecz jasna cała akcja nie byłaby możliwa, gdyby nie sponsorzy.

- Okazuje się, że jest spora grupa dobrych ludzi, którzy chcą przekazać swoje pieniądze na takie cele – mówi koordynator hospicjum Wojciech Glac. – Czasami wystarczy pojechać do jakiejś firmy, sklepu wielobranżowego czy drukarni i po krótkiej rozmowie, przedstawieniu

naszych potrzeb otrzymujemy ogromne wsparcie. Z mojego doświadczenia mogę powiedzieć, że prawie każdy człowiek ma w sobie potrzebę pomocy innym, tylko czasami się nad tym do końca nie zastanawia. Moja więc w tym głowa, żeby do takich ludzi dotrzeć.

Hospicjum prowadzi również kampanię 1 proc. (kampanię społeczną zachęcającą do przekazywania 1 proc. podatku dochodowego na rzecz organizacji pożytku publicznego), koncerty czy różnego rodzaju konkursy – wszystko po to, by pomóc rodzinom, które nie byłyby w stanie same pokryć wszystkich kosz-

tów leczenia. Jest to hospicjum dziecięce, do którego trafiają pacjenci potrzebujący opieki paliatywnej oraz u których stwierdzono chorobę nieuleczalną medycznie (są to najczęściej wady genetyczne).

- Faktem jest, że gdyby nie wolontariusze, ta instytucja nie mogłoby istnieć – mówi dr Krzysztof Nawrocki, pediatra i założyciel placówki. – Ich zaangażowanie, pomysły i chęci sprawiają, że hospicjum istniejące dopiero od dwóch lat, działa coraz prężniej i ku naszej satysfakcji, bardzo szybko się rozwija.

Akcja „Święty Mikołaj” była bardzo udana. Nie pozostając biernym, 17 stycznia br. zorganizowaliśmy koncert kolęd pod hasłem: „Kolędy dla najmniejszych” w kościele św. Józefa w Podgórzu. Wzięli w nim udział tylko i wyłącznie wolontariusze. – Mamy mnóstwo młodych utalentowanych muzyków. Znaleźli się również i tacy, którzy w profesjonalny sposób zajęli się sprawą nagłośnienia i oświetlenia – podsumowuje Wojciech Glac.

Były to kolędy nieco w innym stylu. Zaśpiewano nie te tradycyjne, tylko autorstwa Zbigniewa Preisnera, który również pojawił się na koncercie. Skomponował je właśnie z myślą o dzieciach, które są nieuleczalnie chore.

- Wolontariuszką jestem od dwóch lat, brałam już udział w wielu takich czy podobnych inicjatywach przygotowywanych przez hospicjum. Zawsze jest dużo pracy i zamieszania. Czasami czuję zniechęcenie i mam ochotę dać sobie spokój, ale kiedy uświadamiam sobie, dla kogo to robię, i widzę radość i wdzięczność chorych dzieci i ich rodzin, to przestaję mieć jakiegokolwiek wątpliwości – mówi Emilia, studentka II roku prawa.

Okazuje się, że nie dużo trzeba, by pomóc innym. Czasami odwzajemniony uśmiech jest wart o wiele więcej niż tysiąc słów... ■



Prof. Andrew Michta:

- Partnerstwo nie polega na tym, że jedna strona wyłącznie wymaga...

**Stany Zjednoczone są symbolem praworządności
i demokracji czy przyczyną konfliktów i destabilizacji?**

Prof. Andrew Michta, wykładowca Europejskiego Centrum Studiów Strategicznych Georga Marshalla w Niemczech oraz pracownik University School of Advanced International Studies w Waszyngtonie, 12 stycznia br. wygłosił wykład w Krakowskiej Szkole Wyższej nt. „Amerykańska polityka zagraniczna i obronna. Kontynuacja czy zmiany?” („US Foreign and Security Policy. Continuity or Change?”). Przedstawił obecne problemy Ameryki, takie jak kryzys na giełdzie (przekroczono magiczną granicę tryliona dolarów deficytu budżetowego), kłopoty związane z konfliktami na Bliskim Wschodzie czy walkę z globalnym terroryzmem.

Po ataku na WTC Amerykanie podjęli zdecydowane działania militarne. Panuje tam silne przekonanie, że wprowadzenie systemu demokratycznego we wszystkich krajach świata doprowadzi do porządku i stabilizacji. Nowy prezydent Barack Obama stoi przed bardzo trudnymi zadaniami napraw i zmian. Priorytetem jest wzmocnienie gospodarki wewnętrznej kraju, zdobycie pieniędzy w celu wydobycia się z kryzysu oraz wycofanie wojsk z Iraku, co było zapowiedziane jeszcze w czasie trwania kampanii wyborczej.

Po zakończeniu konferencji poprosiliśmy prof. Andrew Michtę o rozmowę dla „Mixer”.

- Po wyborze Baracka Obamy na stanowisko prezydenta USA budowa tarczy antyrakietowej w Polsce stoi pod znakiem zapytania. Czy po tak długotrwałych negocjacjach może się zdarzyć, że do instalacji nie dojdzie?

- Prezydent Barack Obama nie sprzeciwia się budowie tarczy antyrakietowej w Polsce, ale w 100 procentach nie jest to jeszcze pewne. Trwają specjalistyczne analizy, ponieważ przy tak wielkim przedsięwzięciu należy mieć gwarancję jej technologicznej sprawności.

- Przeciwnicy tarczy obawiają się, że przyniesie ona mnóstwo zagrożeń, szczególnie ze strony Rosji. Czy, pańskim zdaniem, mamy się czego obawiać?

- Oczywiście, ryzyko istnieje, ale trzeba patrzeć na korzyści, jakie płyną z zainstalowania tarczy na naszym terytorium. Elementy amerykańskiego systemu obronnego w Polsce są ogromnym plusem. Biorąc pod uwagę politykę Rosji, nie można się dziwić jej zdecydowanej dezaprobaty. Moim zdaniem

największym zagrożeniem może być cofnięcie funduszy na budowę bazy, potencjalnie realne, za sprawą Kongresu USA. Wtedy Polska znalazłaby się w bardzo trudnej sytuacji, ponieważ zapłaciła już cenę polityki – nastąpiło automatyczne zamrożenie stosunków z Rosją, a cel by nie został osiągnięty. W tym układzie Polska wygrywa niewiele, jednak utrzymanie jak najbliższej więzi z USA oceniam jako bardzo racjonalną i właściwą politykę polskiego rządu.

- Czy Polska odgrywa ważną rolę na arenie międzynarodowej?

- Janse, że odgrywa. Polska jako średniej wielkości kraj europejski jest jednym z najbliższych sojuszników Stanów Zjednoczonych. Macie możliwość wpływania na dynamikę wewnątrz-europejską. Przykładowo inicjatywa wschodniego partnerstwa, czyli inwestycja gazowa z Norwegią, związałyby Skandynawię z Europą ekonomicznie, a jednocześnie pozwoliłoby to na uniezależnienie się od rosyjskiej dostawy gazu. Trzeba również pamiętać o tym, że Polska ma jeszcze przed sobą około 20 lat, żeby zakończyć proces naprawy szkód okresu komunistycznego, a wcześniej



Fot. Mirosław Zak

wojennego, i dokonać skoku cywilizacyjnego, którego była pozbawiona.

- Wspomniał pan profesor o bliższych stosunkach między USA i Polską. Jednak pojawiają się głosy, że udzielanie poparcia wojskowego amerykańskiej polityce ofensywnej (wojna w Iraku czy Afganistanie) nie przyniosło Polsce zapowiadanych korzyści finansowych, politycznych i militarnych. W takim razie na czym ma owo partnerstwo polegać?

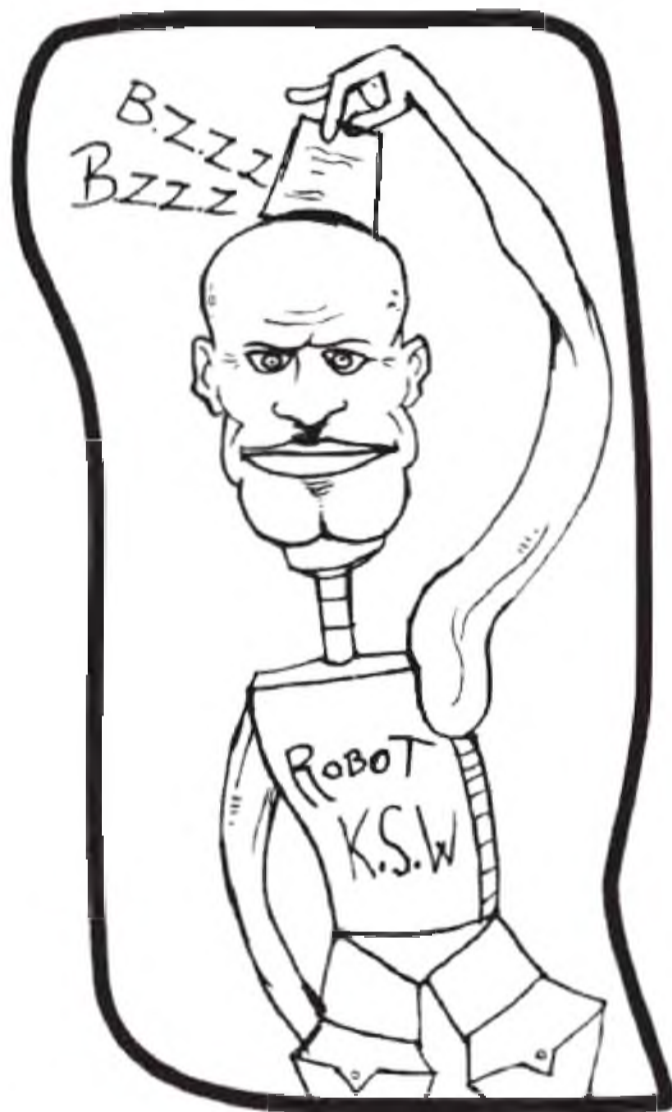
- Partnerstwo nie polega na tym, że jedna strona wyłącznie wymaga. Mówi: „Dajcie pieniądze, rakiety, odrzutowce etc. i dopiero wtedy zostaniemy za przyjaciółmi”. Skupianie się na detalach uważam za działania destrukcyjne. Prowadzi ono do nieporozumień. Mówiąc o polskim udziale w wojnie w Iraku, jestem bardzo ostrożny, gdy twierdzi się, że Polska na tym straciła. Zajmuję się polskim wojskiem, jeżeli chodzi o reformę obrony, od rozpadu paktu warszawskiego i z mojego doświadczenia muszę powiedzieć, że widoczna jest radykalne

podejście ludzi, jeśli mówimy o umiejętnościach, możliwościach działania czy tworzenia akcji operacyjnych. Ok. 30 tys. waszych żołnierzy współpracowało z najlepszą armią na świecie. Misja w Iraku była pierwszą prawdziwą reformą polskiego wojska i proszę o tym pamiętać. Prawdą jest i to, że owa decyzja wiele kosztowała polski rząd, ale innym wyjściem byłoby płacenie za to, że ci sami żołnierze siedzieliby w jednostkach i nic nie robili. Modernizacja wojska jest czymś bezcennym. Myślę, że dobrym rozwiązaniem byłoby budowanie partnerstwa na zasadzie znajdowania wspólnych interesów. Wartość Polski w stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi polega na waszej sile przebicia w Europie, natomiast patrząc w drugą stronę – wasze wpływy na starym kontynencie stają się celem naszych stosunków z wami. A na czym najbardziej zależy Polsce? Wracając jeszcze do poprzedniego wątku, można zadać pytanie: „Po co poszliście do Iraku? Tworzyć demokrację czy po to, żeby wzmocnić wasz związek ze Stanami Zjednoczonymi?”.

Na pewno jedną z potrzeb jest gwarancja bezpieczeństwa. Znajdujecie się w bardzo trudnym, ale również korzystnym układzie strategicznym (sąsiedztwo rosyjskie pozostawia wiele do życzenia). Jesteście w centrum Europy. Ukraina – co jesteście w stanie jej zaproponować? Opowiadacie się za wprowadzeniem do NATO również innych krajów wschodnich. Wasze zaangażowanie, solidaryzowanie się w ich sprawy są bardzo istotne. Jesteście w naturalnej pozycji zostania ekspertem w kwestii polityki Europy Wschodniej.

Na pewno jeszcze wiele jest do zrobienia w tym kierunku, by nasze stosunki z Europą i Stanami Zjednoczonymi się ustabilizowały. Jednak co ma to oznaczać w praktyce? Czy rzeczywiście jest możliwe, żeby Polska stała się fachowcem wschodniej polityki? Prof. Andrew Michta uważa, że tak.

Mirka Kędzierska



URYH

autor: Andrzej Paduszyński

